

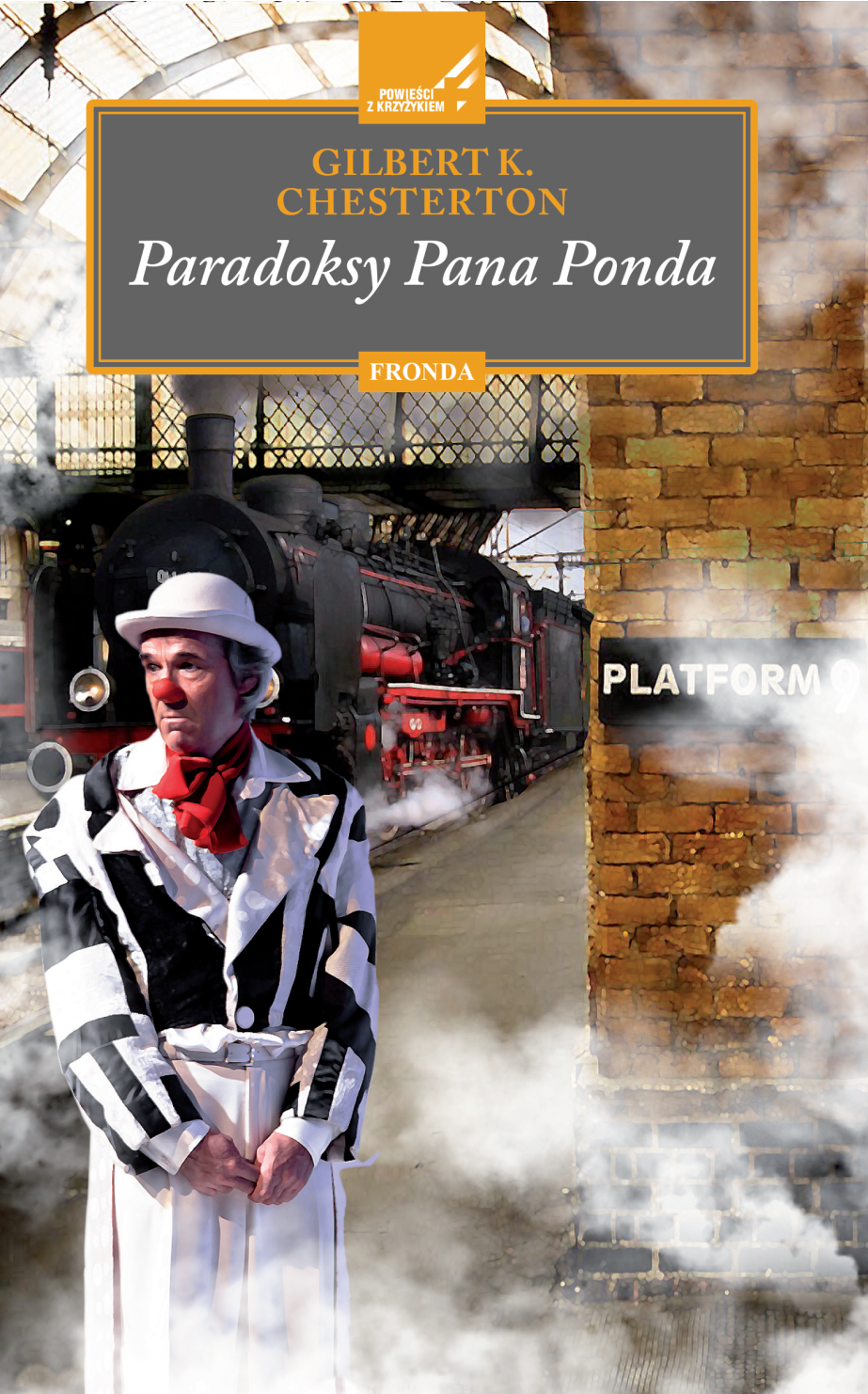
POWIEŚCI
Z KRZYŻYKIEM

GILBERT K.
CHESTERTON

Paradoksy Pana Ponda

FRONDA

PLATFORM 9



Gilbert Keith Chesterton (1874-1936)

Angielski powieściopisarz, poeta, dramaturg i eseista.

Mistrz groteski, paradoksu i humoru absurdałnego.

Przeciwnik socjalizmu i agnostycyzmu.

Często polemizujący publicznie z G.B. Shawem czy H.G. Wellsem.

Zadebiutował w 1900 roku tomikiem *Błędny rycerz i inne wiersze*.

Ogółem jego twórczość obejmuje 80 książek.

Część z nich weszła na stałe do historii angielskiej i światowej literatury.

Największą sławę przyniosły mu powieści, takie jak:

Napoleon z Notting Hill, *Człowiek, który był Czwartkiem* czy *Kula i krzyż*.

Jego wiersz *Lepanto* angielscy żołnierze powtarzali w okopach
podczas I wojny światowej.

W 1922 roku głośnym echem w Europie odbiła się jego konwersja
z anglikanizmu na katolicyzm.

Chesterton jako myśliciel religijny był także autorem książek
apologetycznych (np. *Ortodoksja*) i polemicznych (*Heretycy*).

Dał się poznać jako wielki przyjaciel naszego kraju,
wielokrotnie nazywając rozbiór Polski zbrodnią.



W serii
POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM
dotychczas ukazały się:

WILLIAM E. BARRETT
CZARNOKSIEŻNIK

GILBERT KEITH CHESTERTON

KULA I KRZYŻ
CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM
PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA
NAPOLEON Z NOTTING HILL
LATAJĄCA GOSPODA
KLUB NIEZWYKŁYCH ZAWODÓW
POETA I WARIACI
CZŁOWIEK, KTÓRY WIEDZIAŁ ZA DUŻO
POWRÓT DON KICHOTA
PARADOKSY PANA PONDA

GERTRUD VON LE FORT
PAPIEŻ Z GETTA

WALTER M. MILLER JR
KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

BRIAN MOORE
KATOLICY

JOHN HENRY NEWMAN
KALISTA

GILBERT KEITH CHESTERTON

Paradoksy Pana Ponda

FRONDA

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału
The Paradoxes of Mr Pond
Copyright © 2010 by FRONDA PL SP. z o.o. Warszawa

Tłumaczenie
Tomasz Walenciak
Copyright © 2010 by Tomasz Walenciak

Redakcja
Aneta Szaraniec-Sandecka

Projekt graficzny serii i grafika na okładce
Barbara Piotrowska

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer
www.pandawer.pl

ISBN 978-83-62268-60-3

Wydawca
FRONDA PL Spółka z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. (22) 8365444, 8773735
fax (22) 8773734
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl

Menedżer projektu
Wojciech Salwa

Organizacja druku
PanDawer
www.pandawer.pl

Wydanie I

[Kup książkę](#)

TRZEJ JEŹDZCY APOKALIPSY

Pomimo zwykłej grzeczności pana Ponda i jego wytwornego poczucia obyczajności, osobliwy a czasem wręcz przyprawiający o gęsią skórkę wpływ, jaki na mnie wywierał, łączył się zapewne z jakimiś wspomnieniami z dzieciństwa oraz niejasnymi werbalnymi skojarzeniami z jego nazwiskiem¹. Pan Pond, stary przyjaciel mojego ojca, był urzędnikiem rządowym i mniemam, że moja dziecięca wyobraźnia w jakiś sposób pomieszała jego nazwisko z ogrodową sadzawką. Kiedy o tym pomyśleć, istotnie niezwykle przypominał sadzawkę w ogrodzie: podobnie zwykle był cichy, miał ten sam zadbany wygląd i tak samo jasno, jeśli można się tak wyrazić, odbijał zazwyczaj ziemię, niebo oraz światło dnia codziennego. Wiedziałem jednak, że owa sadzawka skrywała w sobie również rzeczy niezwykle. Przez jeden czy dwa dni w całym roku, raz na powiedzmy sto razy, jej wygląd ulegał niesamowitej zmianie. Płaski spokój tafli zakłócał nagle przelotny cień lub błysk, a jakaś ryba, żaba czy też inne bardziej

¹ Pond (ang.) – staw, sadzawka (przypis tłumacza).

groteskowe stworzenie ukazywało się światłu dnia. Wiedziałem również, że i pan Pond skrywa w sobie potwory – potwory własnego umysłu, które na chwilę tylko pokazywały się na powierzchni, aby prawie od razu zanurzyć się z powrotem. Miały kształt przerażających uwag, ukrytych pośród innych jego bardziej łagodnych i wyważonych opinii. Słyszając je, niektórzy sądzili, że oszalał nagle w trakcie najrozsądniejszej pod słońcem rozmowy. Jednak nawet oni musieli przyznać, że choćby było to prawdą, to równie gwałtownie ten rozum odzyskiwał.

Z drugiej strony, być może ta niemądra wizja utrwaliła się w moim młodzięcym umyśle, ponieważ pan Pond chwilami nieco przypominał rybę. Jego manier były nie tylko dość uprzejme, ale wręcz konwencjonalne. Konwencjonalne były nawet jego gesty, za wyjątkiem jednego, nachodzącego go czasem odruchu szarpania swojej spiczastej brody, który, jak się wydawało, nachodził wówczas, gdy był w końcu zmuszany do poważnego wytłumaczenia tych dziwacznych, oderwanych uwag. W takich chwilach wpatrywał się przed siebie poważnym wzrokiem ciągnąc za brodę, co wyglądało komicznie, jakby otwierał usta siłą, niczym wargi marionetki z przyczepionymi włosami zamiast sznurków. Kiedy tak osobliwie w milczeniu rozwierał usta, co zdarzało się co jakiś czas, niepokojąco przypominał przełykającą powoli rybę. Nie trwało to jednak nigdy dłużej niż parę chwil, w trakcie których, jak mniemam, starał się pochłonąć niemile widziane żądanie, żeby wyjaśnił, co u licha miał na myśli mówiąc to, co powiedział.

Pewnego dnia rozmawiał półgłosem ze znanym dyplomatą, sir Hubertem Wottonem. Siedzieli pod namiotami w kolorowe wesołe pasy a raczej pod gigantycznymi parasolami w naszym ogrodzie, spoglądając w stronę sadzawki, którą wcześniej przewrotnie z nim skojarzyłem. Akurat dyskutowali o znanej im obu dobrze, chociaż znanej bardzo nielicznym ludziom na zachodzie Europy w ogóle, części świata: o rozległych równinach, przechodzących w mokradła i bagna, ciągnących się przez Pomorze, Polskę, Rosję oraz całą resztę Europy aż – o ile mi wiadomo – do syberyjskiej dziczy. Pan Pond przypomniał sobie właśnie, że przez region, gdzie bagna są najgłębsze, gdzie przecinają je stawy i toczące się wolno rzeki, biegnie wysoką groblą o stromych oraz pochyłych bokach, pojedyncza droga. Jest to prosta ścieżka, dość bezpieczna dla zwykłego piechura, ale nie dość szeroka, aby jechali nią ramię w ramię dwaj jeźdźcy. Tak zaczęła się ta opowieść.

Dotyczy ona co prawda niezbyt odległych czasów, były to jednak czasy, kiedy jeźdźców wykorzystywano o wiele częściej niż dzieje się to teraz, choć rzadziej już, w roli wojowników, a raczej jako kurierów. Wystarczy jeśli dodamy, że działo to się podczas jednej z wielu wojen, które spustoszyły tę część świata, o ile tylko można mówić o spustoszeniu takiej głuszy. Siłą konieczności historia ta wynikała z ucisku Polaków przez pruską władzę, poza tą wiedzą jednak nie musimy zagłębiać się w polityczne zagadnienia tej sprawy czy omawiać jej aspekty moralne. Powiemy tylko, łżejszym tonem, że pan Pond zabawił towarzystwo zagadką.

— Słyszeliście zapewne – powiedział Pond – o zamieszaniu wokół postaci Pawła Piotrowskiego, poety z Krakowa, który zrobił dwie nadzwyczaj niebezpieczne w tamtych dniach rzeczy. Po pierwsze, wyprowadził się z Krakowa i osiedlił w Poznaniu. Po drugie, starał się połączyć karierę poety z patriotyzmem. Miasto, w którym zamieszkał, okupowane wtedy przez Prusaków, leżało dokładnie na wschodnim krańcu tej długiej grobli. Rzecz jasna, pruskie dowództwo zadbało o utrzymanie przyczółka owego samotnego mostu biegnącego przez to morze bagien. Baza akurat tej operacji znajdowała się jednak na zachodnim krańcu grobli. Głównodowodzącym był słynny marszałek Von Grock i tak się złożyło, że najbliżej początku tej położonej na skarpie wielkiej drogi stał na posterunku jego stary, wciąż najmiej wspominany pułk Białych Huzarów.

Oczywiście wszystko było związane z ostatni guzik, aż do ostatniego szczegółu wspaniałych białych mundurów przeciętych na ukos płomiennym pasem rapci. Działo się to bowiem jeszcze zanim we wszystkich mundurach świata zaczęto powszechnie stosować kolory przypominające błoto i glinę. Nie obwiniam nikogo, odnoszę tylko czasami wrażenie, że stara epoka heraldyki była wspanialsza niż nasza epoka barw kamuflujących, która nadeszła wraz z historią naturalną i kultem kameleonów oraz żuków. W każdym razie, ten wyborowy pruski pułk kawalerii nadal nosił własny staromodny uniform, co jak się później okazało, było kolejną przyczyną tragedii. Rzecz jednak nie w uniformach, a w uniformizacji. Cała sprawa spaliła na panewce, ponieważ w armii panowała nazbyt dobra

dyscyplina. Żołnierze Von Grocka byli mu nadmiernie posłuszni, więc po prostu nie mógł osiągnąć niczego, co sobie zamierzył.

— To pewnie jakiś paradoks – ciężko westchnął Wotton – oczywiście, bardzo zmyślny i w ogóle, ale doprawdy, przecież to niedorzeczne, prawda? Rozumiem, że mawia się czasami ogólnie, że w niemieckiej armii panuje nadmiar dyscypliny. Ale w wojsku nie można przecież mieć jej zbyt wiele.

— Ależ ja nie wysuwam tu żadnego ogólnego twierdzenia – odparł żalonym tonem Pond – opowiadam tu o konkretnym przypadku. Von Grock poniósł klęskę, ponieważ jego żołnierze byli mu posłuszni. Oczywiście, gdyby tylko jeden żołnierz okazał mu posłuszeństwo, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale kiedy posłuchało go dwóch jego żołnierzy... Cóż, biedaczysko nie miał żadnych szans.

Wotton roześmiał się gardłowo.

— Ciesz się mnie ta twoja nowa teoria wojskowości. Jednemu żołnierzowi pozwoiliłbyś na okazanie posłuszeństwa przełożonemu, jednak kiedy okazuje je dwóch żołnierzy, uderza cię to jako nadmiar pruskiej dyscypliny.

— Nie mam żadnej teorii wojskowości, opowiadam jedynie o fakcie związanym z wojskowością – odpowiedział spokojnie pan Pond – faktem jest, że Von Grock poniósł porażkę, ponieważ posłuchało go dwóch spośród jego żołnierzy. Faktem jest, że gdyby jeden z nich nie okazał mu posłuszeństwa, mógłby odnieść sukces. Później możesz wymyślać sobie na ten temat teorie jakie tylko zechcesz.

— Mnie również niezbyt interesują teorie – odrzekł nieco sztywno Wotton, jakby dotknięty jakimś trywialnym docinkiem.

W tej samej chwili pojawiła się, sunąc przez pokryty szachownicą promieni słonecznych trawnik, wielka i dumna postać kapitana Gahagana, wybitnie osobliwego przyjaciela tudzież wielbiciela małego pana Ponda. Na rudej głowie miał nieco przekrzywiony szary kapełusz, w butonierce zaś płomienny kwiat. Jego iście butny krok wydawał się pasować bardziej do starszej epoki dandysów czy pojedynekowiczów, choć sam Gahagan był jeszcze stosunkowo młody. Dopóki na tle słońca widać było tylko zarys jego wysokiej, barczystej sylwetki, wyglądał jak ucieleśnienie wszelkiej arogancji. Kiedy zbliżył się i usiadł z twarzą w świetle, temu wrażeniu zaprzeczyły natychmiast bardzo łagodne brązowe oczy patrzące smutno, a nawet trochę niespokojnie.

Pan Pond, przerwawszy swój monolog, niemal bez końca wyrzucał z siebie przeprosiny:

— Obawiam się, że jak zwykle mówię zbyt dużo. Opowiadałem właśnie o tym poecie Piotrowskim, którego już jakiś czas temu omal nie rozstrzelano w Poznaniu. Lokalne władze wojskowe wahały się, zamierzały go uwolnić, o ile nie dostałyby bezpośredniego rozkazu od marszałka Von Grocka lub kogoś wyższego stopniem. Jednak marszałek Von Grock nieprzejednanie pragnął śmierci poety i jeszcze tego samego wieczora posłał rozkaz jego egzekucji. Wysłano później rozporządzenie ułaskawienia, ale ponieważ wiozący go żołnierz zginął w drodze, więźnia jednak uwolniono.

- Ponieważ... – powtórzył mechanicznie Wotton.
- Człowiek wiozący rozporządzenie ułaskawienia... – dodał nieco sarkastycznie Gahagan.
- Zginął w drodze... – wymamrotał Wotton.
- ... więzień oczywiście został wypuszczony – dokończył Gahagan głośnym i rozbawionym głosem – jaśniej nie można tego ująć. Opowiedz nam jeszcze jedną bajkę, dziadku.
- To całkowicie prawdziwa historia – zaproponował Pond – a wszystko stało się dokładnie tak jak powiedziałem. To żaden paradoks ani nic podobnego. Tyle, że oczywiście trzeba znać tę historię, żeby zrozumieć, jaka jest prosta.
- Tak – zgodził się Gahagan – chyba wolałbym jednak poznać tę historię, zanim zrozumieć jaka jest prosta.
- Opowiedz nam ją lepiej i skończ już z tym – uciął krótko Wotton.

Paweł Piotrowski był jednym z tych kompletnie niepraktycznych ludzi, których waga w praktycznej polityce jest kolosalna. Jego wpływ wynikał z tego, że poetą był wprawdzie narodowym, ale za to śpiewakiem międzynarodowym. To znaczy, był właścicielem świetnego, potężnego głosu, którym wyśpiewywał pieśni patriotyczne własnego autorstwa w połowie sal koncertowych świata. Oczywiście w swojej ojczyźnie był pochodnią, trąbą rewolucyjnych nadziei, zwłaszcza w czasie pewnego międzynarodowego kryzysu, o którym mowa, kiedy to polityków zastępują na scenie ludzie bardziej lub mniej od nich praktyczni. Zawodowy

polityk bowiem rozwija się przedstawiając praktyczne przeciwwskazania jakiegokolwiek działania, podczas gdy prawdziwego idealistę i prawdziwego realistę łączy przynajmniej umiłowanie czynu. Akty idealisty mogą okazać się niewykonalne, zaś działania człowieka czynu pozbawione skrupułów, ale żaden z nich nie zdobędzie uznania nie robiąc nic. Ciekawe, że przedstawiciele tych dwóch skrajnych typów stali naprzeciw siebie na obu krańcach tej jedynej wysokiej drogi przez mokradła. W mieście na jednym jej końcu uwięziony polski poeta, w obozie wojskowym na drugim – pruski żołnierz i dowódca.

Marszałek Von Grock był bowiem prawdziwym Prusakiem, nie tylko całkowicie praktycznym, ale i kompletnie prozaicznym. Nie przeczytał nigdy choćby linijki poezji, ale nie był głupcem. Posiadał właściwe żołnierzom poczucie rzeczywistości, które nie pozwoliło mu popełnić niemądrego błędu praktycznego polityka. Nie drwił z wizji, nienawidził ich tylko. Wiedział, że poeta lub prorok może być równie niebezpieczny co cała armia. I postanowił, że ten poeta musi umrzeć. Był to jedyny, za to szczery wyraz uznania dla poezji, na jaki było go stać.

W tej chwili siedział w swoim namiocie przy stole. Przed nim leżała pikielhauba, którą zawsze nosił publicznie. Chociaż jego masywna głowa była krótko wygolona, wyglądała jakby była całkiem łysa. Ogolona była także cała jego twarz, której nie zakrywało nic oprócz pary bardzo silnych okularów nadających jego ciężkiemu i obwisłemu obliczu zagadkowy wygląd. Odwrócił się do stojącego w pobliżu porucznika,

Niemca obdarzonego typową dla części swoich rodaków budyniową twarzą, bladymi włosami oraz błękitnymi, okrągłymi jak spodki oczami wpatrującymi się w próżnię.

— Poruczniku Von Hocheimer – rzekł – czy mówił pan, że Jego Wysokość dotrze do obozu dziś wieczór?

— O siódmej czterdzieści pięć, panie marszałku – odpowiedział porucznik, który zdawał się w ogóle przemawiać raczej niechętnie, niczym wielkie zwierzę uczące się nowej sztuczki mówienia.

— W takim razie mam akurat dość czasu – oznajmił Von Grock – aby zanim tu przybędzie, wysłać pana z rozkazem egzekucji. Musimy służyć Jego Wysokości na wszystkie możliwe sposoby, ale zwłaszcza oszczędzając mu zbędnych kłopotów. Będzie dość zajęty przeglądem wojska, proszę dopilnować, aby wszystko oddano do jego dyspozycji. Wyjedzie do następnej placówki po godzinie.

Wydawało się, że wielki porucznik częściowo ożył i oddał niewyraźny salut.

— Oczywiście, panie Marszałku, wszyscy musimy być posłuszni Jego Wysokości.

— Powiedziałem, że wszyscy musimy służyć Jego Wysokości – odezwał się marszałek.

Gwałtowniejszym niż zwykle ruchem odpiął swoje ciężkie okulary i położył je ze stukiem na stole. Gdyby porucznik potrafił dostrzec podobne rzeczy swoimi bladoniebieskimi oczyma lub gdyby mógł otworzyć je jeszcze bardziej niż zwykle, zapewne rozwarłby je szeroko na widok dokonanej tym gestem przemiany. Wyglądało to, jakby marszałek zdjął żelazną maskę. Chwilę

wcześniej Von Grock niezwykle przypominał nosorożca, z ciężkimi fałdami skóry chropowatych policzków i szczęk. Teraz okazał się nowym potworem: nosorożcem, ale o wzroku orła. Niemal każdy widząc ponury płomień jego starych oczu odgadłby, że jakaś część marszałka nie jest po prostu ciężka, że zrobiona nie jest zaledwie z żelaza, a ze stali. We wszystkich ludziach bowiem żyje jakiś duch, choćby miał to być zły duch lub jakiś duch do tego stopnia obcy wspólnocie chrześcijan, że nie wiadomo właściwie, czy jest on dobry czy zły.

— Powiedziałem, że wszyscy musimy służyć Jego Wysokości – powtórzył Von Grock – ujmę to prościej i powiem, że wszyscy musimy ratować Jego Wysokość. Naszym władcom wystarczy, że są dla nas bogami, których musimy słuchać, chronić. Nam przypadło za-
bierać o służbę oraz odsiecz.

Marszałkowi Von Grock rzadko zdarzało się przemawiać czy nawet kontemplować w sposób, który bardziej oddani refleksji ludzie uznaliby za myślenie. Zazwyczaj daje się zauważyć, że ludzie jego typu, kiedy już zdarza im się myśleć na głos, o wiele bardziej wolą mówić do psa, z pewną protekcyjną lubością używając przy tym długich słów czy skomplikowanych argumentów. Jednak porównanie porucznika Von Hocheimera do psa byłoby rażącą niesprawiedliwością wobec tego zwierzęcia, które jest bardziej wrażliwym i bacznym stworzeniem. Prawdziwszym byłoby spostrzeżenie, że w trakcie jednej ze swoich rzadkich chwil refleksji Von Grock miał wygodne oraz bezpieczne poczucie, że rozmyśla na głos w obecności krowy czy główki kapusty.

— W historii naszego domu królewskiego bezustannie sługa ratował swojego pana – ciągnął marszałek – a nierzadko jedyną jego nagrodą były kopniaki. Albo co najmniej ciosy ze strony zewnętrznego świata, który zawsze przedkłada ckliwy sentymentalizm nad sukces czy siłę. My jednak odnieśliśmy zwycięstwo zachowując potęgę. Przeklinano Bismarcka za to, że depeszą z Ems oszukał nawet swojego własnego pana. Jednak dzięki temu, ten pan stał się panem świata. Wzięliśmy Paryż, zrzuciliśmy z tronu Austrię nadal czując się pewnie. Dziś wieczór Piotrowski zginie i również będziemy bezpieczni. Dlatego właśnie wyruszy pan natychmiast z nakazem jego egzekucji. Rozumie pan, że musi dowieźć ten rozkaz a ponadto dopilnować, aby został wykonany?

Milczący Hocheimer zasalutował – rozumiał to bardzo dobrze. Mimo wszystko posiadał pewne cechy psa: był odważny jak buldog, umiając być wiernym aż do śmierci.

— Musi pan natychmiast wyjechać – ciągnął Von Grock – proszę dopilnować, aby nic pana nie opóźniło ani nie popsuło szyków. Wiem z całą pewnością, że jeśli ten głupiec Arnheim nie otrzyma żadnej wiadomości, gotów jest uwolnić Piotrowskiego jeszcze dziś wieczór. Proszę się spieszyć.

Porucznik zasalutował po raz kolejny, wyszedł, znalazłszy się pod osłoną nocy, dosiadł jednego ze wspaniałych białych rumaków tworzących część splendoru tego wspnianego korpusu i pojechał wysoką wąską drogą na skarpie niczym po szczycie muru spoglądającego na ciemny widnokrąg oraz mglisto-zgniłe potężne mokradła.

Niemal w chwili, kiedy ostatnie echa kopyt jego konia ucichły w oddali na grobli, Von Grock wstał, włożył hełm, okulary i podszedł do wejścia, wiedziony innym powodem. Do namiotu zbliżali się już najważniejsi członkowie jego sztabu w pełnej gali, zaś wzdłuż wszystkich bardziej oddalonych szeregów rozbrzmiewały rytualne pozdrowienia i wykrzykiwane rozkazy. Przyjechała Jego Książęca Wysokość.

Stanowił on pewien kontrast, co najmniej pod względem wyglądu zewnętrznego, w stosunku do innych ludzi wokół siebie. W pewnych sprawach był nawet swoistym wyjątkiem na świecie. Książę również miał na sobie pikielhaubę, jednak należącą do munduru innego pułku, czarną, błyszczącą błękitną stałą. Połączenie tego hełmu z długą, ciemną, falującą brodą wśród tych wszystkich wygolonych Prusaków było w połowie nieprzystające, ale z drugiej strony – w pewien staroświecki sposób – fantazyjnie odpowiednie. Jakby dla uzupełnienia tej imponującej, smolistej brody nosił granatowy, sfałdowany aż do ziemi płaszcz, ozdobiony jedną płonąca gwiazdą najwyższego królewskiego orderu, a pod nim – czarny mundur. Choć był Niemcem w nie mniejszym stopniu niż inni, był odmiennym typem od swoich rodaków: coś w jego dumnej, ale roztargnionej twarzy harmonizowało z legendą, że jedyną prawdziwą pasją jego życia była muzyka.

Istotnie, zrzędlivy Von Grock skłonny był łączyć z tym właśnie skrywanym dziwactwem bardzo dla niego irytujący i męczący fakt, że Książę nie oddał się zaraz należytemu przeglądowi oraz defiladzie wojska

ustawionego już w przypominającym labirynt szyku zgodnym z mundurową etykietą ich narodu. Zamiast tego, zagłębił się natychmiast z niecierpliwością w temat, którego Von Grock chciał za wszelką cenę uniknąć: temat tego piekielnego Polaka, jego popularności, jak również grożącego mu niebezpieczeństwa. Tak się bowiem składało, że Księżę słyszał pieśni wykonywane przez tego człowieka na połowie scen operowych Europy.

— Egzekucja takiego człowieka to szaleństwo – powiedział Księżę z grymasem niezadowolenia pod czarnym hełmem – to europejska instytucja, a nie jakiś tam zwykły Polak. Opłakiwaliby go i ubóstwiali nasi sprzymierzeńcy, przyjaciele, nawet nasi niemieccy rodacy. Czy chce pan odegrać rolę tych szalonych kobiet, które zamordowały Orfeusza?

— Wasza Wysokość – odrzekł marszałek – opłakiwany czy ubóstwiany, przede wszystkim byłby martwy. Jakiegokolwiek są jego zamiary, nie spełniłyby ich. Czymkolwiek zajmuje się obecnie, zaniechałby tego. Śmierć jest najprawdziwszym faktem ponad wszystkie inne, a ja lubię fakty.

— Czy pan w ogóle nie zna świata? – dopytywał się Księżę.

— Poza ostatnim czarno-białym słupem granicznym Vaterlandu – odpowiedział Von Grock – świat w ogóle mnie nie obchodzi.

— Przenajświętszy Boże! – zawołał Jego Wysokość – powiesiłby pan Goethego za zatarg z Weimarem!

— Dla bezpieczeństwa naszego domu królewskiego – przyznał Von Grock – bez chwili wahania.

Zapadło krótkie milczenie, po czym Księżę zapytał nagle wnikliwie:

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że nie wahałem się ani chwili – odparł spokojnie marszałek – i osobiście wysłałem już rozkaz egzekucji Piotrowskiego.

Księżę uniósł się jak wielki ciemny orzeł, łopocząc połami swojego płaszcza niczym ogromnymi skrzydłami. Było oczywiste, że nie dający się wyrazić zwykłą mową gniew zmienił go w człowieka czynu. Nie mówił nawet do Von Grocka, a obok niego, wołając na cały głos do zastępcy dowódcy, generała Von Voglena, przysadzistego mężczyzny o kwadratowej głowie, który stał w tle nieruchomo jak kamień.

— Kto ma najlepszego konia w pańskiej dywizji kawalerii, generale? Kto jest najlepszym jeźdźcem?

— Arnold Von Schacht ma konia, który mógłby pokonać konia wyścigowego – odpowiedział bezwzględnie generał – a jeździ nim równie dobrze jak dżokej. Służy w Białych Huzarach.

— Bardzo dobrze – odparł księżę z tym samym nowym brzmieniem w głosie – niech wyruszy natychmiast za człowiekiem z tym szalonym rozkazem i zatrzyma go. Dam mu pełnomocnictwo, z którym mam nadzieję, nawet nasz wybitny marszałek nie będzie dyskutował. Proszę przynieść mi pióro wraz z atramentem.

Usiadł, wstrząsając płaszczem, po czym przyniesiono mu przybory do pisania. Stanowczym, zamaszystym pismem wypisał rozkaz anulujący wszystkie inne a także ten nakazujący ułaskawić i uwolnić Piotrowskiego.

Po wszystkim wyszedł z namiotu dziarskim krokiem ciągnąc za sobą płaszcz i szablę, wśród martwej ciszy, gdzie stał stary Von Grock wpatrując się w niego bez zmrużenia powiek, jak kamienny bałwan z prehistorycznych czasów. Niezadowolenie księcia było tak gwałtowne, że nikt nie śmiał przypominać mu o formalnym przeglądzie wojsk. Tylko Arnold Von Schacht, energiczny młodzieniec o kręconych włosach, mimo chłopięcego wyglądu noszący na białym uniformie Huzarów niejeden medal, stuknął obcasami przyjmując od księcia złożony dokument. Po czym oddaliwszy się żwawym krokiem, wskoczył na konia i pognął po wysokiej wąskiej drodze niczym srebrna strzała albo spadająca gwiazda.

Stary marszałek powrócił nieśpiesznie do swojego namiotu. Powoli i spokojnie zdjął pikielhaubę oraz okulary, tak jak przedtem położył je na stole, po czym zawołał do stojącego na zewnątrz namiotu ordynansa, kazać mu natychmiast przyprowadzić do siebie sierżanta Schwartz z Białych Huzarów.

Chwilę później przed marszałkiem stał się wychudły, żylasty mężczyzna z biegnącą przez szczękę wielką blizną. Jak na Niemca był całkiem smagły, chyba że jego cera została po prostu zmieniona przez lata dymu, burz i niepogody. Zasalutował, stanął sztywno na baczność, kiedy marszałek powoli podniósł na niego wzrok. Chociaż przepaść między wydającym rozkaz generałem marszałkiem imperium a tym wyniszczonym podoficerem była ogromna, faktycznie spośród wszystkich mężczyzn przemawiających w tej opowieści, oni jedni spoglądali na siebie rozumiejąc się bez słów.

— Sierzancie – powiedział szorstkim głosem marszałek – widziałem już was dwa razy. Raz, jak mi się wydaje, kiedy wygraliście krajową nagrodę za umiejętności strzeleckie.

Sierzant zasalutował milcząc.

— Ponownie – ciągnął Von Grock – kiedy przesłuchiowano was za zastrzelenie tej przekłętej staruszki, która nie chciała wydać nam informacji o zasadzce. W swoim czasie incydent ten wywołał sporo nieprzychylnych komentarzy również w naszych kręgach. Jednak ktoś użył swoich wpływów na waszą korzyść. Ja.

Sierzant ponownie zasalutował, nadal milcząc. Marszałek mówił dalej bezbarwnym głosem, za to niezwykle otwarcie:

— Jego Książęca Wysokość został oszukany i źle poinformowany w sprawie o zasadniczym znaczeniu dla bezpieczeństwa jego samego oraz Vaterlandu. Pod wpływem tego błędu pochopnie posłał rozkaz ułaskawienia tego Polaka Piotrowskiego, który dziś w nocy ma zostać rozstrzelany. Powtarzam: dziś w nocy ma zostać rozstrzelany. Musicie wyruszyć natychmiast za Von Schachtem, wiozącym rozkaz ułaskawienia i zatrzymać go.

— Obawiam się, że nie dogonię go, panie marszałku – powiedział sierżant Schwartz – ma najlepszego konia w całym pułku, jest najlepszym jeźdźcem.

— Nie kazałem wam go dogonić. Kazałem go zatrzymać – powiedział Von Grock, po czym dodał nieco wolniej – człowieka można przecież zatrzymać lub zawrócić za pomocą różnych sygnałów, na przykład krzyku lub strzału – jego głos stał się jeszcze bardziej

ociężałe rozwlekły, jednak nie przerywał – jego uwagę mógłby przyciągnąć choćby wystrzał z karabinku.

Śniady sierżant zasalutował po raz trzeci, nadal zaciskając ponure usta.

— Zmieniamy świat – powiedział Von Grock – nie słowami, pochwałami czy naganami, ale czynami. Świat nie potrafi otrząsnąć się z czynu, a czynem, jakiego nam w tej chwili trzeba, jest zabicie pewnego człowieka – tu błysnął nagle swoimi jasnymi stalowymi oczami w stronę sierżanta i dodał – oczywiście, mam na myśli Piotrowskiego.

Sierżant Schwartz uśmiechnął się jeszcze bardziej ponuro, po czym uniósł połę namiotu, wyszedł w mrok, dosiadł konia i odjechał.

Było jeszcze mniej prawdopodobne, aby ostatni z tych trzech jeźdźców pozwolił sobie na oddanie się fantazjom tylko dla nich samych. Ponieważ nawet Schwartz był w pewien niedoskonały sposób człowiekiem, jadąc w ciemną noc z takim zadaniem, nie mógł otrząsnąć się z przytłaczającej atmosfery tego nieludzkiego krajobrazu. Podążając stromą skarpą widział rozciągający się w nieskończoność widok tysiąckroć bardziej nieludzki niż morze. Nie można było tu pływać, ani wiosłować, ani wykonywać jakichkolwiek zwykłych ludzkich czynności – można było tylko utonąć w tych mokradłach i to praktycznie bez walki. Sierżant odczuwał mgliście obecność jakiegoś pierwotnego szlamu pozbawionego wszelkich kształtów, który nie był ani ciałem stałym ani płynem, a wydawał się tkwić pod postacią każdej rzeczy.

Jak wiele tysięcy innych nudnych, mądrych ludzi w północnych Niemczech, Schwartz był ateistą. Nie należał jednak do tych szczęśliwszych pogan, którzy dostrzegają naturalny rozkwit ziemi w postępie ludzkości. Leżący przed nim świat nie był polem, gdzie ewoluowały, rozwijały się i przynosiły owoc rośliny czy zwierzęta. Był tylko otchłanią, w której wszystko, co żywe, zapadłoby się w nieskończoność jak w studni bez dna. Ta myśl umocniła go w postanowieniu spełnienia wszystkich dziwnych powinności, jakie miał spełnić w tym jakże nienawistnym świecie. Widziane z góry zielonoszare plamy płaskiej roślinności jak rozciągnięta mapa przypominały bardziej plan choroby niż rozwoju, zaś zamknięte sadzawki mogły zawierać raczej truciznę niż wodę. Przypomniał sobie jakieś zamieszanie humanistów wokół skażania stawów.

Jednak w przypadku większości ludzi nie oddanych zwykle rozmyśleniom, refleksje sierżanta tkwiły korzeniami w podświadomym obciążeniu jego nerwów i praktycznej inteligencji. Rzeczywiście, prosta droga przed nim była nie tylko monotonna, ale zdawała się nie mieć końca. Nie uwierzyłby nigdy, że mógł zajechać tak daleko nie dostrzegając nawet odległego śladu człowieka, za którym podążał. Von Schacht musiał naprawdę mieć najszybszego konia w pułku skoro ujechał już tak daleko. Jakkolwiek prędko by nie mknął, wyruszył przecież całkiem niedawno. Jak już powiedział marszałkowi, Schwartz nie mógł oczekiwać, że go wyprzedzi. Chociaż bardzo realistyczne poczucie odległości podpowiadało mu, że wkrótce musi go dostrzec. Właśnie

wtedy, kiedy na opustoszały krajobraz zaczęła opadać i wypełniać go sobą rozpacz, ujrzał go w końcu.

Daleko przed nim pojawił się biały punkt, który stopniowo i powoli powiększył się do kształtu przypominającego jadącą zajadłe białą postać. Punkt zintensyfikował się tak mocno tylko dlatego, że sam Schwartz poderwał konia do szaleńczej jazdy, aczkolwiek był na tyle wielki, że można było dostrzec jasnopomarańczowy pas przecinający biały mundur pułku Huzarów. Zdobywca krajowej nagrody za umiejętności strzeleckie trafił już w środek celów mniejszych niż ten.

Zdjął karabinek z ramienia i nagle na tych cichych mokradłach dzikie ptactwo poderwało się z powodu nieoczekiwanego nienaturalnego hałasu. Lecz sierżant Schwartz nie dbał o ptaki. Interesował go tylko fakt, że nawet z tej odległości zauważył, jak prosta biała postać garbi się, zmieniając swój zarys, jakby mężczyzna nagle stał się kaleką. Zwisał przez siodło niczym garbus, zaś Schwartz ze swoim sokolim okiem i długim doświadczeniem był pewien, że jego ofiara dostała postrzał w ciało oraz niemal pewien, że trafił w serce. Wtedy drugim strzałem zastrzelił konia a połączeni w pojedynczy biały blask jeździec z rumakiem pochylili się i ześliznęli znikając w położonych poniżej ciemnych mokradłach.

Racjonalny sierżant był pewien, że jego zadanie zostało wykonane. Tego rodzaju realiści na ogół są bardzo precyzyjni w tym, co robią w danej chwili. Dlatego właśnie tak często myślą się w tym, czym zajmują się na co dzień. Sierżant popełnił zbrodnię przeciwko braterstwu,

które stanowi duszę każdej armii: zabił mężnego oficera wykonującego swoje obowiązki, oszukał i przeciwstawił się swojemu władcy popełniając zwykłe morderstwo nie usprawiedliwione nawet żadnym osobistym zatargiem. Okazał jednak posłuszeństwo przełożonemu oficerowi pomagając zabić Polaka. W tej chwili jego myśli wypełniały te dwa ostatnie fakty, w zamyśleniu odjechał więc z powrotem, by zdać raport marszałkowi Von Grock. Nie miał wątpliwości co do dokładności czynu, którego dokonał. Człowiek wiozący akt ułaskawienia był z pewnością nieżywy. Gdyby nawet jakimś cudem okazał się tylko śmiertelnie ranny, w żaden wyobrażalny sposób nie mógłby dostać się na swoim martwym czy dogorywającym koniu na czas do miasta, aby zapobiec egzekucji. W takim razie, ogólnie rzecz biorąc, o wiele bardziej praktycznie czy roztropnie było wrócić pod skrzydła swojego opiekuna, autora tego rozpaczliwego przedsięwzięcia. Sierżant całą siłą wspierał się teraz na potęgze wielkiego marszałka.

Faktycznie, wielki marszałek miał w sobie ten fenomen, że mimo dokonanej czy raczej zleconej potwornej zbrodni, nie odczuwał żadnego lęku przed niezwłocznym stawieniem czoła faktom ani przed kompromitującym następstwem utrzymywania kontaktów ze swoim narzędziem. W istocie, jakąś godzinę później razem z sierżantem ruszyli skarpą aż do konkretnego miejsca, gdzie marszałek zsiadł z konia kładąc swojemu podwładnemu jechać dalej. Poleciał mu skierować się do pierwotnego celu podróży jeźdźców i sprawdzić, czy po egzekucji panuje w mieście spokój czy też nadal utrzymuje się groźba powszechnych zamieszek.

— To już tutaj, panie marszałku? – spytał cicho sierżant – zdawało mi się, że to dalej, ale ta piekielna droga naprawdę zdawała się ciągnąć bez końca jak jakiś koszmar.

— To tutaj – odpowiedział Von Grock wyskoczywszy ciężko z siodła i strzemion, podszedł do krawędzi długiej balustrady, aby spojrzeć w dół.

Nad moczarami wstał w całej swojej wspaniałości księżyc, lśniący nad ciemnymi wodami oraz zielonym kozuchem brudu. Na dole, w najbliższej kępie trzcin, niby promieniującej światłem ruinie, leżało wszystko, co pozostało z jednego z najwspanialszych białych koni, jak i jeźdźców ich dawnego pułku. Tożsamość martwego jeźdźcy nie podlegała dyskusji: tajemnicze światło księżyca, które utworzyło swoistą aureolę z kręconych złotych włosów młodego Arnolda, drugiego jeźdźcy niosącego akt ułaskawienia, połyskiwało również na szarfie czy guzikach munduru, na medalach, paskach a także oznakach rangi młodego żołnierza. W tej efektownej świetlnej zasłonie mogło wydawać się, że leży on tam w białej zbroi sir Gala-hada. Z pewnością trudno byłoby znaleźć straszniejszy kontrast niż ten między opadłą tak nagle, leżącą w dole łaską jak również młodością, a przyglądającą się jej z góry kamienną, groteskową postacią. Von Grock ponownie zdjął hełm i choć możliwe, że było to niewyraźne echo jakiejś formy szacunku dla zmarłych, widoczny efekt tego gestu był taki, że przypominająca nosorożca dziwaczna goła czaszka połyskiwała kamiennym blaskiem w świetle księżyca niczym bezwłosa głowa jakiegoś potwora z epoki kamiennej.

Rops², czy inny podobny mu rytownik, uczeń znamienitej niemieckiej szkoły czarnej kreski, mógłby stworzyć taki właśnie obraz: nieładzka jak żuk wielka bestia spoglądająca w dół na złamane skrzydła i biało–złotą zbroję pokonanego wojownika Cherubinów.

Von Grock nie zmówił żadnej modlitwy ani nie wyraził żalu, ale w pewien posępny sposób jego umysł był poruszony, podobnie jak nawet najmroczniejsze czy potężne bagno wzruszy się czasem niczym żywa istota. A jak to mają w zwyczaju podobni mu ludzie, czując, że stają w pozycji obronnej przed nie wiadomo kim lub czym, próbował sformułować swoje jedyne credo konfrontując je z surowym wszechświatem jak też przypatrującym się mu księżycem.

— Niemiecka wola jest taka sama przed uczynkiem jak i po nim. Nie złamią jej ani zmiany, ani czas, tak jak łamią wolę tych, którzy poddają się wyrzutom sumienia. Stoi poza czasem jak kamienna istota, spoglądając tą samą twarzą w przód oraz wstecz.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach trwała dość długo, by zadowolić jego zimną próżność pewnym poczuciem zapowiedzi nieszczęścia, jak gdyby kamienna figura przemówiła w dolinie milczenia. Ciszę tę przerwał jednak ponownie dreszcz odległego szepotu będący niewyraźnym dudnieniem kopyt końskich. W chwilę później po podniesionej drodze nadciągnął z powrotem galopem czy też raczej szaleńczym cwałem sierżant Schwartz, którego pokryte bliznami

² Félicien Rops (1833–1898) – belgijski artysta (przypis red.).

smagłe oblicze w świetle księżyca było już nie tylko ponure, a wręcz upiorne.

— Panie marszałku – powiedział, salutując z dziwną sztywnością – widziałem tego Polaka, Piotrowskiego!

— Nie pogrzebali go jeszcze? – spytał marszałek nadal wpatrując się w dół z pewnym roztargnieniem.

— Jeśli nawet – powiedział Schwartz – to odsunął kamień i powstał z martwych.

Wpatrywał się przed siebie w księżyc, w mokradła. W istocie jednak, choć daleko mu było do wizjonera, w tej chwili widział nie je właśnie a to, czego świadkiem był w mieście. A widział tam Pawła Piotrowskiego przechadzającego się w pełni życia i zdrowia po oświetlonej wspaniale głównej ulicy polskiego miasta aż do samego początku grobli. Tej szczupłej sylwetki obdarzonej grzywą włosów oraz kępą francuskiej brody, która figurowała w tak wielu prywatnych albumach czy ilustrowanych magazynach nie można było pomylić z żadną inną. Za nim zaś zobaczył polskie miasto rozplomienione flagami, pochodniami, wreszcie mieszkańców kipiących zwycięskim kultem bohatera, choć nastawionych wobec władz nieco mniej wrogo niż można by się spodziewać, skoro ogarnęła ich radość wywołana uwolnieniem popularnego bohatera.

— Czy chcecie mi powiedzieć – Von Grock zawołał gwałtownie ostrym tonem – że uwolnili go wbrew moim rozkazom?

Schwartz zasalutował ponownie, odpowiadając:

— Uwolnili go już przedtem, a nie otrzymali żadnych rozkazów.

— Czy chcecie, żebym po tym wszystkim – odparł Von Grock – uwierzył, że z naszego obozu nie wyjechał w ogóle posłaniec?

— Nie było żadnego posłańca – powiedział sierżant.

Zapadło dłuższe milczenie, po czym Von Grock zapytał ochryple:

— Co się u diabła stało? Czy potraficie mi to wszystko jakoś wytłumaczyć?

— Widziałem coś – powiedział sierżant – co jak myślę, tłumaczy wszystko.

Opowiedziawszy tę historię do tego momentu, pan Pond urwał z irytująco bezbarwną miną.

— No i? – zapytał niecierpliwie Gahagan – a czy ty wiesz, co mogłoby to wszystko wytłumaczyć?

— No cóż, wydaje mi się, że tak – powiedział potulnie pan Pond – widzisz, kiedy raport dotarł do mojego wydziału, sam musiałem rozgryźć tę sprawę. Przyczyną naprawdę był nadmiar pruskiego posłuszeństwa, a także nadmiar innej pruskiej słabości: pogardy. A ze wszystkich pasji, które zaślepiają ludzi, doprowadzają ich do szału sprowadzając na manowce, pogarda jest zarazem najgorszą i najzimniejszą.

Von Grock przemawiał ze zbytnią łatwością i pewnością siebie niczym przed krową czy kapuścianym głąbem. Gardził głupcami nawet we własnym sztabie, a pierwszego posłańca, Von Hocheimera, traktował jak mebel tylko dlatego, że ten miał aparycję imbecyla. Jednak porucznik nie był w istocie takim kretyńcem, na jakiego wyglądał. On również zrozumiał, co miał na myśli wielki marszałek, równie

dobrze jak cyniczny sierżant, który całe życie wykonywał podobną brudną robotę. Hocheimer zrozumiał także szczególną filozofię moralną marszałka: że czyn, nawet gdy nie można go usprawiedliwić, nie pozostawia miejsca na odpowiedź. Wiedział, że jego dowódca pragnie po prostu zwłok Piotrowskiego, że chce ich jakimkolwiek sposobem, nawet kosztem oszukiwania książąt czy zagłady żołnierzy. A kiedy usłyszał za sobą szybszego jeźdźcę, próbującego go wyprzedzić, wiedział równie dobrze jak sam Von Grock, że ten nowy posłaniec wiezie akt łaski od księcia. Von Schacht, ten młody lecz wspaniały oficer, przypominający ucieleśnienie wszelkiej bardziej hojnej niemieckiej tradycji aż zanadto pominiętej w tej opowieści, był godny przypadku, który uczynił go heroldem bardziej hojnej polityki. Nadszedł z całą prędkością na jaką pozwalały umiejętności jeździeckie, które pozostawiły po sobie w Europie nazwę rycerstwa³, nawołując swojego poprzednika głosem jak trąba herolda, aby zatrzymał się i zawrócił. A Von Hocheimer posłuchał go. Zatrzymał się, wstrzymał konia, obracając się w siodle, ale w dłoni trzymał karabinek kawaleryjski wymierzony jak pistolet, z którego wystrzelił chłopcu między oczy.

Po czym zawrócił i jechał dalej wioząc nakaz egzekucji Polaka. Jeździec wraz z koniem spadli za nim ze skarpy, droga była więc czysta. A tą czystą otwartą drogą nadciągał już trzeci z kolei goniec, dziwiąc

³ Polskie słowo *rycerz* pochodzi od niemieckiego *Ritter* – rycerz, jeździec (przypis tłum.).

się nie kończącemu się pościgowi, aż w końcu ujrzał przed sobą charakterystyczny mundur Białych Huzarów, jak znikającą w oddali białą gwiazdę. Wtedy on także wystrzelił. Tyle że zabił nie drugiego, a pierwszego gońca.

Dlatego tamtego wieczoru do tego polskiego miasta nie przybył żaden goniec. Z tego właśnie powodu więzień wyszedł z aresztu żywy. Czy nadal więc uważasz, że myliłem się twierdząc, że Von Grocka zgubił nadmiar posłuszeństwa jego żołnierzy?